



Cały lipiec mówi się o możliwości wybuchu wojny, ale mało osób w nią wierzy. Za Otwockiem jeden z pułków warszawskich odbywa manewry. Ruch, gwar, przyjeżdżają sztabowcy. Ćwiczenia odbywają się normalnie. Kiedyś odezwane się czyjeś przy stole, że jednak za kilka tygodni może bomba pęknąć wywołało szaloną radość i dowcipy z niefortunnego wróżbiarza. 25 sierpnia wieczorem oficerowie zebrali się, jak w kasynie na kolację. Każdy coś zamawia, rozmowy, dowcipy. Nagle szarpnięta gwałtownie zastona namiotu uchyla się, wpada zadyszany podoficer i jednym tchem wyrzuciwszy z siebie zdanie:

- W ciągu godziny zwijanie obozu. Marsz do Warszawy - znika jak meteor.

Cisza. Jeszcze brzmiały w uszach gwałtownie wyrzucone słowa, jeszcze pojąć nie mogę ich treści, gdy w namiocie już niema nikogo.

Dymi gorąca jajecznicą, porzucone noże i widelce... cisza i pustka...

Byłam przypadkowym świadkiem tej sceny. Zapadła mi ona w pamięć głęboko jako punkt zwrotny, jako wstęp do wszystkiego, co się miało w piorunującym tempie zwać na nasze głowy.

Wychodzę z namiotu. Cały las gra światełkami. Zwijanie obozu.

Tempo! Tempo! Konie, wozy, tabory, kuchnie, krzątanie, ruch i wreszcie długim sznurem wyciąga wszystko na szosę, sunąc w stronę Warszawy. Cała ludność wyległa pod drogowskaz. Jak wiatr powiało przez wioskę złowrogie: - Wojna. Zbijają się w gromadki, żegnają chłopców - niepewni, bezradni... - Nie martwcie się, to jeszcze nie wojna - pociesza filozoficznie ktoś z szeregu. Ot, chcą mieć bliżej wojsko i to wszystko!

Źródło:

Anna Jachnina [XY], *Pamiętnik z oblężenia Warszawy*, w: *Pamiętniki z obrony Warszawy*, red. Halszka Buczyńska, Warszawa 1942.